

Agnieszka Kopciowska –najlepsze opowiadanie VII edycji Miesiąca Opowiadań

Przez telefon

Wielkie to były budynki o wielu oknach. Była gdzieś pomiędzy nimi i nasza kamienica. Wielka była przestrzeń i było szare miasto. W mieście mnóstwo linii przerywanych, takich z prądem i z samochodami. Wielki to ruch. Patrzyłam w niebo i widziałam te właśnie czarne sznury, a na nich wróble. Wieczorami plotkowały o ludziach.

Pomiędzy liniami przerywanymi rosły drzewa. Pomiędzy drzewami rosły domy. Przedziwnie się tu świat prezentował. Szarość udawała biel, a kwadraty podzielone na cztery mniejsze, świeciły do późna. I ludzie byli. Chodzili, spali, zimą ubierali się ciepło i dzwonili do siebie.

Moje małe miejsce znajdowało się gdzieś pomiędzy. W lewym kącie stało łóżko, w prawym jakaś lampa i stół. Na stole książki i telefon ze słuchawką do złudzenia przypominającą tę od prysznica, z małymi dziurkami na potok wody i potok słów. Latem odwiedzały mnie biedronki. Wizyta świerszcza, co prawda ucieszyłaby mnie bardziej, ale zawsze milczałam, aby nikogo nie urazić. Wiosną słońce tańczyło na ścianie, a jesień i zima były puste i spokojne. Tak płynął tu czas.

Niemal naprzeciwko mojego okna było jej okno. Jej szare duże oczy były puste i długo patrzyły na coś, co widziała tylko ona. Kobieta ta była siwa, raczej ładna i bardzo zmęczona. Przeżyła rzeczy, w które nikt by nie uwierzył, i w które z trudnością sama wierzyła. Chodziło jej wyłącznie o to, aby ludzie byli dla niej życzliwi. Mieszkała całkiem sama i nie spacerowała ulicami miasta. Wieczorami otwierała okna i dopiero wtedy zdawało się, że oddycha.

Mówiono tu o niej niewiele. Panie z okien na dole powtarzały, że jest nieszczęśliwa, że dawno temu mąż ją zostawił, dzieci dorosły, wyjechały tworzyć własne domy i zapomniały o niej. Kiedyś przyjechała po nią karetka. Wszyscy myśleli, że umiera na tęsknotę, ale nie umarła.

We śnie widziałam jej łzy. Widziałam jak pakuje książki tego, który kiedyś był jej mężem. Owija je w szary papier, sznurek. Wkłada do wielkiej paczki. Wyrzuca krawaty. Widziałam jak przegląda zdjęcia małych, różowych lalek, które kiedyś były jej dziećmi i postanawia już nigdy nie wychodzić, aby nie zaznać cierpienia. Widziałam jej szare oczy, które rozpląnęły się jak dym, bo przyszedł świt.

Płynął czas. Przyszła wiosna. Promienie słońca rozlewały się po ścianach, drzewa

odzyskiwały siłę i wiele zaczęło się zmieniać. Zaczęło się od tego, że ścięto wielką, starą lipę, która rosła obok naszej kamienicy. Była tu jeszcze przed wszystkimi i bardzo się zestarzała. Martwa kora obsypywała się i drewniane ciało mogło upaść lada dzień. Panie z dolnych okien rozpaczały. Była to w końcu nasza najstarsza lokatorka.

Po upadku naszej starej, dobrej lipy nastąpiły rzeczy niezwykle. W ciepły wieczór ona otworzyła wszystkie okna i swoim zwyczajem uważnie chwytła widoki miasta. Spoglądałam na nią ukradkiem. Twarz miała łagodną i wyglądała jak porcelanowa lalka. Spokój szczelnie wypełniał każdy kąt naszego osiedla, dopóki nie przegonił go drżący dźwięk telefonu, który płynął z jej mieszkania. Cofnęła się i wyglądała tak, jakby wołała skoczyć z okna niż odebrać. Zbyt długo panowała u niej cisza. Zbyt długo była samotna i myślała, że jej wyspa jest nie do zdobycia. Mogła zatracić już całkowicie zdolność mówienia albo umrzeć. W końcu zniknęła w odmętach pokoju i nie wracała bardzo długo. Nie słyszałam słów, które padły, ale po nich zamknęła wszystkie okna i zasunęła zasłony szczelniej niż zwykle.

Od tamtego dnia jej telefon dzwonił częściej. Przyszedł też czas kiedy dzwonił codziennie. Otwierała okna już nie tylko wieczorami, ale też po południu i o świcie. Widziałam nawet uśmiech na jej twarzy, co było zupełnie nowym zjawiskiem. Przy jej uchu spoczywała słuchawka telefonu, niemal zawsze jak wierna ćma. Patrzyła często ponad moje okno i zaczęłam podejrzewać, do kogo kieruje wiele swoich słów.

Dwa okna nade mną mieszkał mężczyzna. Siwizna obsypała mu już głowę, ale jego oczy nadal miały w sobie wiele iskier. Widziałam go na zewnątrz jego mieszkania jeden jedyny raz. To było parę lat temu, ale do dziś pamiętam jego brązowy cylinder i lęk jaki w sobie miał. Jakby stawiał kroki nad przepaścią, a nie na betonowym chodniku.

Mówiono o nim, że jest wariatem i starym kawalerem. Panie z dolnych okien opowiadały, że wiele lat temu był zakochany bez pamięci, ale jego wybranka odrzuciła go. Chciał się nawet powiesić albo otruć chloroformem, dlatego nie patrzono w jego okno, bo to podobno przynosi pecha. Prawie nigdy nie wychodził ze swojego mieszkania, płacił grupce rezolutnych chłopców za robienie zakupów i pamiętanie o rachunkach, i tylko wieczorami wychodził na balkon i długo patrzył. Może zobaczył pewnego dnia smutną kobietę, która nigdy nie wychodzi z domu i zapragnął do niej zadzwonić, może znał ją od zawsze i dopiero teraz nabrał odwagi, aby usłyszeć jej głos albo wybrał przypadkowy numer i ona okazała się jego szczęśliwym losem.

Odkąd zaczęły się ich rozmowy, oboje stali się promienni i gdybym zobaczyła ich po raz

pierwszy, pomyślałabym, że zawsze byli szczęśliwi. Treść ich rozmów była tajemnicą. Mogli rozmawiać o sobie, samotności, swoich dziwactwach, wiadomościach, o tym, jak bardzo porcelanowe są ich serca i jak ostrożnie chowają się w ciepłych, bezpiecznych pudełkach albo o tym, że powietrze robi się coraz cieplejsze i niebawem przyjdzie lato. Mógł dzwonić w naprawdę nieważnej sprawie i powiedzieć, że rano zleciały mu z głowy dwa włosy, a jajecznicę przesolił, bo myślał o niej. Czasami wyglądało na to, że trzymają słuchawki przy uchu, milczą i patrzą na siebie. Wyglądali jak dwie części tej starej lipy ściętej na początku wiosny.

Najdłużej rozmawiali wieczorem i byłam prawie pewna, że to po to, aby mniej myśleć o śmierci przed snem.